

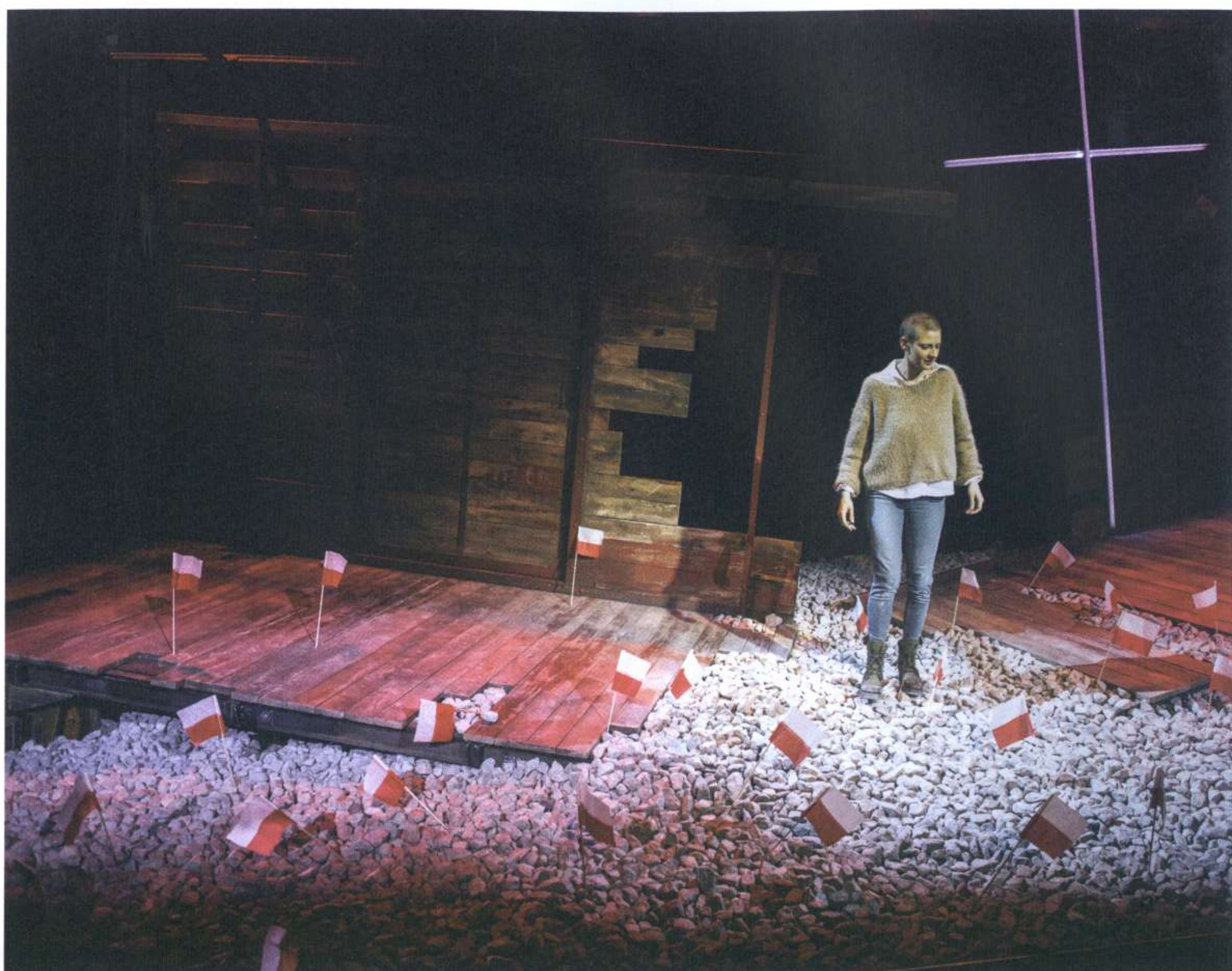
TEATR WYBRZEŻE
W GDAŃSKU

Ruscy
Radosława Paczochy

reżyseria
Adam Orzechowski
scenografia, kostiumy,
światło
Magdalena Gajewska
muzyka
Marcin Nenko

prapremiera
11 listopada 2018

Magdalena
Gorzelańczyk (Wiera)



fol. Dominik Werner

Rodacy z Atlantydy

AUTOR: JAROSŁAW ZALESIŃSKI

Stulecie niepodległości w Teatrze Wybrzeże powitano prapremierą *Ruskich* Radosława Paczochy w reżyserii Adama Orzechowskiego, o Polakach zesłanych do Kazachstanu.

■ W gdańskim Muzeum II Wojny Światowej znajduje się wyjątkowy eksponat, wokół którego, nawet w środku politycznej bitwy o tę placówkę, nie toczyły się żadne spory. To zwykły wagon towarowy, wyprodukowany w Niemczech w latach I wojny światowej, przejęty przez polskie linie kolejowe po 1918 roku. Po 1939 wpadł w ręce Sowieci i całkiem możliwe, że był wykorzystywany w masowych wywózkach, także Polaków. Po napaści hitlerowskich Niemiec na Rosję trafił na taką samą służbę w nazistowskiej maszynierii śmierci. Ten zwykły wagon jest przejmującym symbolicznym obrazem obu terrorów: czerwonego i brunatnego. I syntetycznym streszczeniem polskiego losu w latach II wojny.

W przedstawieniu *Ruscy* w gdańskim Teatrze Wybrzeże takie właśnie, tyle że potrząskane, wagony towarowe są dominantą zaprojektowanej przez Magdalenę Gajewską scenografii. Z przodu sceny Gajewska rozsypała jasnoszary tłuczeń. Cała przestrzeń jest zatem jakby torowiskiem, światem „w drodze”. To proste nawiązanie do tematu całej opowieści: losu Polaków wywożonych w latach trzydziestych i czterdziestych do Kazachstanu, ale też metafora ich sytuacji: wyrwani gwałtem z własnej ziemi, przesiedleni het, siedem tysięcy kilometrów, w pustkę stepów, od tego czasu naznaczeni zostali obcością wobec każdego, kto jest „swój”, „stąd”, kto ma solidną „tożsamość”. Próba oddania tego stanu ducha jest

najciekawszą stroną tekstu Radosława Paczochy, ciekawszą nawet od – skądinąd bardzo słusznej i szlachetnej – intencji przypomnienia tragicznego losu dziesiątków tysięcy naszych rodaków.

Wiemy bowiem, jak to w sztuce bywa ze słusznymi intencjami, zwłaszcza gdy sprzęgają się z „realizacją w ramach stypendium”, o czym informuje nagłówek *Ruskich*. Lektura tekstu pozwala stwierdzić, że Paczocha do „realizacji” podszedł rzetelnie i że naczytał się wielu źródeł, nie zawsze zresztą oddzielając je w tekście cudzysłowem. Natrafiamy więc a to na mało zgrabnie rymowane strofki z wiersza Mariana Jonkajtysa *Za Ural precz*, a to na parafrazę *Dumki stepowej*, a to na frazę z książki *Wiel-*

błąd na stepie Jerzego Krzysztonia. Rzec nie w prawach autorskich, tylko w tym, że ta wyklejanka ma, siłą rzeczy, liczne literackie nierówności, do czego zresztą przyczynia się i sam autor, bo fraza wykrzyczana przez główną bohaterkę, buntującą się przeciwko władzy narodowych traum: „Może ja nie chcę tylko po kolcach, ale i po płatkach róż chodzić”, literacką urodą nie zniewala...

Najsłabszą stroną tekstu Paczochy jest jeszcze jedna właściwość: dramat ma swojego bohatera zbiorowego, polskich zesłańców, i to kilku pokoleń. Zebrać w jednym spektaklu losy kilkunastu osób, do tego przez ciąg wielu dekad, i zarazem każdej z tych postaci nadać na tyle wyraziste rysy, by jej los angażował nas i poruszał – to okazało się zbyt trudne. Z takiego krzesiwa iskry nie udało się skrzesać. Bodaj tylko Krzysztof Matuszewski wykreował na scenie postać. Jego Dziadek potrafił nam poruszyć, gdy opowiada o koszmarze pierwszych lat zsyłki w Kazachstanie, i potrafi też wzruszyć, gdy wraca do wspomnień o pierwszej

to groźna, łomocząca muzyka Marcina Nenki, w wielu momentach pomysłowo przetwarzająca *Pożegnanie Ojczyzny* Ogińskiego. Dowiadujemy się, jak straszne było to wszystko, ale tej straszności dwudziestowiecznej historii nie odczuwamy.

Dopiero kiedy zrezygnujemy z odbierania spektaklu edukacyjnie, jako rodzaju przydatnego scenicznego bryku z najnowszej historii, kiedy zastanowimy się, jak ta historia wpłynęła na ludzi (czy właściwie: jak ich udeптаła), jak zmieniła i jak nie zmieniła się ich tożsamość – dramat nabiera ostrości. Pojawia się pytanie: dlaczego właściwie autor nazwał swoich bohaterów „Ruskimi”? Przecież oni sami odbierają to jak największą obelgę. Oni są Polakami, powtarzają to z wielką dumą przy każdej okazji. Co to jednak znaczy „być Polakiem”? Trzymać pod obrazem Matki Boskiej zakręcony słoik z paroma garściami ziemi, wywiezionej z rodzinnej Marchlewszczyzny? Życ w zmitologizowanej opowieści o Polsce, „przepięknej pani, w białej sukni haftowanej

się w tym celu m.in. prostym przeciwstawieniem losu Polaków w Kazachstanie oraz Niemców nadwołżańskich, zesłanych przez Stalina do Kazachstanu, których sprowadzono do ojczyzny przy pierwszej sposobności – bo to przecież krew z krwi i kość z kości, mimo że na terenach Rosji żyli od czasów Katarzyny II.

Drugi powód jest istotniejszy i mniej publicystyczny. W końcu los Wiery i Nataszy (Agata Woźnicka), z których pierwsza repatriuje się do Polski, a druga – do Niemiec, z pozoru różny, w istocie jest bardzo podobny, o czym mówi ich identyczny ubiór. Choć trafiły do innych krajów, są w nich tak samo obce. Co więcej i co gorsza – czuły się i były obce tam, w posowieckim Kazachstanie. W świecie pewnych siebie, dobrze się „u siebie” czujących etnicznych tożsamości pokazują się jak istoty z innego świata, z jakiejś zatopionej Atlantydy. Tak jak koszmar głodu, doświadczonego w pierwszym roku po zsyłce, na zawsze naruszył w nich poczucie bezpieczeństwa, tak że nawet dziesięć lat później chomikują po zakamarkach mieszkań zawekowane przetwory – tak też doświadczenie wynaradawiania nie zmieniło co prawda ich tożsamości, ale spowodowało, że nie jest ona tak pewna siebie, tak „u siebie”.

To gorzej czy lepiej? Lepsza jest polskość chwacka czy powątpiewająca o swej sile? Wiele mówi o tym dialog pomiędzy Wierą i poznanym przez nią w Polsce Ukraińcem. O czym rozmawiają ci zakochani w sobie młodzi ludzie? Ano o tym, że Mickiewicz, którego *Stepy akemańskie* Jura (Piotr Biedroń) cytuje w rosyjskim przekładzie Bunina, to „wielki polski poeta”. Ukraińiec, nazywający Mickiewicza z litewską i przytaczający go po rosyjsku, w dodatku fragmentem ze *Stepów akemańskich*, w sztuce opowiadającej o polskości – ma to posmak prowokacji. Przypomnijmy sobie jednak, co inny wielki polski poeta z Wilna, Czesław Miłosz, wygadywał na Lechitów albo jak Zbigniew Herbert pielęgnował pamięć o swojej ormiańskiej babce. Paczocha, choć to wątek tylko zamarkowany w tym głównie edukacyjno-historycznym dramacie, opowiada się po stronie tożsamości „słabych”, a to z tej racji, że nie ma w nich ukrytego potencjału wrogości i agresji wobec przeróżnych „obcych”.

Można temu tekstowi i temu spektaklowi wiele wyrzucać, ale nie można zaprzeczyć, że był sto razy ciekawszą formą uczczenia setnej rocznicy niepodległości niż przeróżne celebracje. ■

Wolna Polska ze swymi rodakami zesłanymi do Kazachstanu obeszła się, jak wiemy, podle, o czym Paczocha z Orzechowskim mówią dosadnie.

miłości, możliwej także w tak niehumanitarnym i strasznym świecie. Kreująca postać Wiery, głównej bohaterki, Magdalena Gorzelańczyk, aktorka, która miała tak obiecujący start w zespole Teatru Wybrzeże w roli Jadwigi w *Śmierci białej pończochy* Mariana Pankowskiego, tym razem, choć posługuje się podobną „nadekspresyjną ekspresją”, nie przekonuje. Pozostali aktorzy dostali do wykonania mało wdzięczne zadanie kolorowych szkiełek w kalejdoskopie. Autor i reżyser wciąż obracają tym kalejdoskopem, tak że ten sam aktor w jednej chwili z zesłańcą staje się strażnikiem konwoju albo nadzorcą obozu, albo polską urzędniczką gorliwie przestrzegającą procedur, albo ateizującym dzieci gorliwym sowieckim nauczycielem, albo Januszem z polskiego miasteczka, bojącym się obcych, bo przenoszą zarazki i mogą pozbawić nas pracy, albo polskim antropologiem, który przyjechał do Kazachstanu, niczym Bronisław Malinowski do dzikusów, by badać egzotyczne lokalne obyczaje, amonity polskości pozostałej po stalinowskim potopie. Historia pędzi jak szalony pociąg, kalejdoskop obraca się bez chwili przerwy, w tle podgrywa

białymi różami”, jak śni Wiera? „Polska to najlepszy ze wszystkich kraj, w Polsce tylko dobrzy ludzie żyją, kulturalni, niepijący, niebiący, w Boga wierzący, kraj to mlekiem i miodem płynący, ludzie uśmiechnięci, pogodni, wykształceni, i tacy jak my, tylko lepsi. I w Polsce Polacy mogą się czuć jak u siebie, czyli tak, jak nigdzie indziej nie mogą się czuć” – taką z kolei opowieść o polskości snuje jej Mama (Sylvia Góra-Weber). Słuchamy tych zdań i zaczynamy się zastanawiać: czy Paczocha opowiada złudne sny zesłańców, od wielu pokoleń żyjących poza Polską, czy też przystawia lustro nam widzom? Czy to wyobrażenia rodzące się w kazachskich stepach, czy może na mazowieckich równinach?

Premierę *Ruskich* Adam Orzechowski, nie tylko reżyser, ale i dyrektor teatru, wyznaczył na 11 listopada. W dniu narodowych ceremonii proponował przedstawienie zrobione na złość i na przekór dobremu polskiemu poczuciu „czucia się jak u siebie”. Wolna Polska ze swymi rodakami zesłanymi do Kazachstanu obeszła się, jak wiemy, podle, o czym Paczocha z Orzechowskim mówią dosadnie. Posługują